

## BISZKOPT

Mieszko od rana nerwowo przemierzał komnatę przyjęć. Podchodził do otwartego okna, wyglądał przez nie w roztargnieniu, odwracał się na pięcie i ruszał w drugą stronę. Zatrzymywał się centymetry od przeciwległej ściany, przez moment przyglądał się ponuro układowi słoików i znów robił nawrót. Z każdą chwilą jego krok stawał się szybszy, a milczenie panujące w komnacie cięższe i bardziej złowroźne. Ciszę zakłócało jedynie skrzypienie skórzanych butów i furkot książęcej szaty. Stojący pod ścianami dworzanie i wojowie coraz gorliwiej udawali, że ich tu nie ma. Zwrócić na siebie uwagę księcia będącego w takim stanie to pewne kłopoty.

Z drogi wzburzonemu księciu nie chciał zejść jedynie posąg Trygława przywieziony z wyprawy na Pomorzan. Ot, taka sobie pamiątka znad słonecznego Bałtyku. Żona księcia, Sulisława, ustawiła figurę w głównej komnacie niedaleko książęcego krzesła, bo uznała, że jedna z twarzy bóstwa, ta wściekła, będzie działać dyscyplinująco na gości. Ale dziś księciu wydawało się, że rzeźba na jego widok krzywi się w pogardliwym uśmiechu. Zaangażował zatem cały swój majestat i silną wolę, by nie wyszarpnąć zza pasa miecza i nie pozbawić łobuza wszystkich trzech łbów po kolei. Ooo tak... To by go odprężyło. Za to Sula po powrocie wpadłaby w furję, a w jej przypiływie była straszniejsza od każdego pogańskiego bóstwa.

Książęce rozmyślenia przerwało skrzypnięcie drzwi. Mieszko znieruchomiał pośrodku komnaty i z nadzieją spojrział w stronę bocznego wejścia, które znajdowało się za plecami jego krzesła. W uchylonych drzwiach, niczym czwarte





oblicze Trygława, pojawiła się głowa Mszczuja, głównego książęcego kapłana.

Jednooki, długowłosy starzec na co dzień nosił kolorowe szaty, obwieszał się sznurami koralu i magicznymi amuletami. A dziś na dodatek w siwe włosy wplótł niebieskie i czerwone pióra, a ogorzałą, pomarszczoną twarz wymalował w białe esy-floresy. W normalnych warunkach takie groteskowe wejście wywołałoby eksplozję wesołości wśród dworzan, ale dziś nikt nawet się nie uśmiechnął.

– Czego? – warknął niezyczliwie ksiązę w stronę przybysza. – Masz jakieś wieści o gościach?

Głowa żercy natychmiast zniknęła, szczęknął zatrząskiwany zamek. Mszczuj najwyraźniej nie miał nic istotnego do powiedzenia.

Mieszko westchnął głęboko i opadł na krzesło. Brak wieści o nowej oblubienicy na zmianę przygnębiał go i wprawiał we wściekłość. Orszak księżniczki powinien przybyć do grodu już kilka dni temu. Wysłana na spotkanie drużyna dojechała do granicy nie napotykając gości, a dziś goniec przywiózł list od przyszyłych teściów, którzy domagali się potwierdzenia, że córka dotarła szczęśliwie i że termin ślubu zostanie dotrzymany.

Humor księciu psuł także biskup, który od kilku tygodni kręcił się po dworze. Przyjechał tu wcześniej, by – jak mówił – „samemu wszystkiego dopilnować”. Na razie jego aktywność ograniczała się do prób dotarcia do księcia i przeprowadzenia z nim rozmowy na tematy zasadnicze.

– Powiedz, że jestem zajęty. Sprawy wagi państwowej – odpowiadał zazwyczaj ksiązę marszałkowi, który w imieniu świątobliwego gościa prosił o audiencję.

Nie miało znaczenia, czy faktycznie władca pochylał się akurat nad miską zupy czy nad którąś z małżonek. Tak naprawdę Mieszko wstydził się przyznać, że zaniedbał zadanie domowe – lekturę świętych ksiąg, które dotarły do grodu wiele miesięcy temu. Owszem, przekartkował kilka dzieł, ale bez większego zapału i z jeszcze mniejszym zrozumieniem. Ślęczenie nad pergaminami nie wchodziło dotychczas w zakres obowiązków władcy kraju

nad Odrą i Wartą, chyba że były to prośby o łaskę albo listy łupów. Poza tym książę nie był zbyt biegły w łacinie, jako że w dzieciństwie nad wkuwanie deklinacji zdecydowanie przedkładał lekcje jazdy konnej i fechtunku. Nie zmartwił go zatem fakt, że księgozbiór zaczął się z czasem w tajemniczy sposób kurczyć, aż wreszcie całkowicie zniknął. Mieszko przez skórę czuł w tej obstrukcji rękę Mszczuja, więc nie drażył tematu. Nie chciał konfliktu ze starym kapłanem, który ewidentnie przeczuwał nadciągający nowy porządek i wszelkimi dostępnymi środkami starał mu się przeciwstawić. Ponadto zniknięcie pomocy naukowych było dobrą wymówką dla braku postępów w przygotowaniach do ślubu.

Gdy operetkowy łeb Mszczuja znów pojawił się w drzwiach, Mieszko odwrócił się na krześle i wbił w przybysza złowróżbne spojrzenie.

– Wybacz, najjaśniejszy panie... – zaczął chrapliwym głosem kapłan, na wszelki wypadek resztę ciała pozostawiając poza komnatą. – Jest pewien kłopot z biskopem.

Mianem biskopata Mszczuj ochrzcił rzecz jasna biskupa uznając, że w ten sposób okazuje mu odpowiednią dozę pogardy. Mieszkańcy grodu ochoczo podchwycili tę nazwę i nikt już nie mówił o kapłanie inaczej niż „biskopt”.

– Wiem, że go nie lubisz, z wzajemnością zresztą – powiedział Mieszko zniecierpliwiony. – I jakież to masz z nim kłopot?

– Niestety, tym razem kłopot nie jest tylko mój – zapewnił pośpiesznie Mszczuj. – On... ten biskopt, znaczy... tak jakby... nie żyje.

Gdy orszak z księciem na czele dobiegł do skrzydła dla gości i stłoczył się u wejścia do komnaty zajmowanej przez kościelnego dostojnika, znów zapadła cisza, w której dało się słyszeć jedynie przyśpieszone oddechy. Zesztywniałe ciało zwisające pod powałą na haftowanej stule, fioletowa twarz pełna krwawych wybroczyn i kałuża cuchnących odchodów u stóp nie pozostawiały wątpliwości – biskup nie żył naprawdę, a nie „tak jakby”.

W pokoju panował niezwykle bałagan. Poprzewracane meble i wybebeszone podróżne skrzynie oraz zwoje pergaminów przemieszane z biskupią garderobą wyglądały jak krajobraz po bitwie.

Mieszko patrzył na to pobojuwisko ze zgrozą i niedowierzaniem. I bardzo, naprawdę bardzo się starał, by nie wpaść w panikę.